

John Steinbeck

O pięknym słowie *timszel*

Samuel wytarł z talerza resztki sosu kawałkiem chleba.

- Adamie – powiedział. - Zastanawiam się, czy ty zdajesz sobie sprawę, kogo masz w Li. Filozofa, który potrafi gotować, czy może kucharza, który potrafi myśleć? Wiele się nauczyłem od niego. I ty musiałeś też się nauczyć, Adamie.

Adam odparł:

- Obawiam się, że nie dość go słuchałem... albo może mówił za mało.

- Adamie, dlaczegoś nie chciał, żeby chłopcy uczyli się po chińsku?

Adam zastanowił się chwilę.

- Zdaje się, że przyszła pora na szczerość – powiedział. – Przypuszczam, że to była prosta zazdrość. Nadałem temu inną nazwę, ale prawdopodobnie nie chciałem, żeby się zbyt łatwo ode mnie oddalili w kierunku, w którym nie mogłem podążać.

- To jest dosyć sensowne i aż nadto ludzkie – odrzekł Samuel. - Ale sama taka świadomość to już wielki skok. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zaszedłem tak daleko.

Li przyniósł szary, emaliowany imbryk z kawą, nalał jej do filiżanek i usiadł. Ogrzął sobie dłoń o wypukłą ściankę swojej filiżanki. A potem roześmiał się.

- Narobił mi pan masę kłopotu, panie Hamilton, i zamącił pan spokój Chin.

- Nie rozumiem, Li.

- Mam jakby wrażenie, że już panu o tym mówiłem – ciągnął Li. – A może tylko ułożyłem sobie wszystko w głowie, żeby panu opowiedzieć. Tak czy owak, to zabawna historia.

- Chciałbym ją usłyszeć – odrzekł Samuel i spojrzał na Adama. - A ty nie, Adamie? Czy znowu zanurzasz się w swoją kąpiel z obłoków?

- Myślałem o tym – odparł Adam. - Zabawna rzecz... ogarnia mnie jakieś podniecenie.

- To świetnie – powiedział Samuel. – Możliwe, że to jest najlepsza ze wszystkich dobrych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się człowiekowi. No, słuchamy twojej historii, Li.

Chińczyk sięgnął ręką do szyi i uśmiechnął się.

- Ciekawe, czy kiedykolwiek zdołam przywyknąć do braku warkocza – powiedział. – Zdaje się, że był mi potrzebniejszy, niż przypuszczałem. No więc, ta historia. Mówiłem panu, że robię się coraz bardziej chiński. Czy pan też robi się coraz bardziej irlandzki?

- To tak przychodzi i odchodzi – odrzekł Samuel.

- Pamięta pan, jak pan nam czytał te szesnaście wersetów z czwartego rozdziału Genesis i jak o tym dyskutowaliśmy?

- Jasne, że pamiętam. Ale to było już dawno temu.

- Prawie dziesięć lat – ciągnął Li. – Otóż ta historia zapadła we mnie głęboko i rozważyłem ją słowo po słowie. Im więcej o niej myślałem, tym wydawała mi się głębsza. A potem porównałem istniejące przekłady i okazało się, że są dosyć do siebie zbliżone. Jedno tylko miejsce mnie korciło. Według wersji króla Jakuba jest tak... to tam, gdzie Jehowa pyta Kaina, dlaczego jest gniewny. Jehowa mówi: „Ażaj, jeżeli dobrze czynić będziesz, nie będziesz wywyższon? A jeżeli nie będziesz dobrze czynił, we drzwiach grzech leży; a do ciebie chuć jego będzie, a ty nad nim panować będziesz”. Uderzyło mnie to „będziesz”, bo jest w tym obietnica, że Kain zwycięży grzech.

Samuel kiwnął głową.

- A tymczasem jego dzieci niezupełnie to spełniły – powiedział.

Li pociągnął łyk kawy.

- Potem dostałem egzemplarz zatwierdzonego amerykańskiego wydania Biblii. Wtedy dopiero co się ukazało. I różniło się w tym passusie. Brzmiał on: „Masz nad nim panować”. A to jest zupełnie coś innego. To nie obietnica, lecz rozkaz. Zacząłem się w tym grzebać. Zastanawiałem się, jakie też było w oryginale słowo użyte przez oryginalnego pisarza, skoro mogły powstać tak bardzo odmienne tłumaczenia.

Samuel oparł się dłońmi o stół i pochylił się do przodu, a w oczach pojawił mu się dawny, młodzieńczy błysk.

- Li! - zawołał. – Nie powiesz mi, żeś studiował hebrajski!

Li odrzekł:

- Zaraz panu powiem. Ale to dosyć długa historia. Pozwólcie panowie, kropelkę ng-ka-pi?

- Tej wódki, co pachnie dobrymi zgniłymi jabłkami?

- Tak. Lepiej mi się po niej mówi.

- Może i mnie będzie się lepiej słuchało – odrzekł Samuel.

Kiedy Li wyszedł do kuchni. Samuel zapytał:

- Adamie, czyś ty o tym wiedział?

- Nie – odparł Adam. – Nic mi nie mówił. A może nie słuchałem.

Li wrócił z kamionkową flaszką i trzema maleńkimi czarkami z porcelany tak cienkiej i delikatnej, że prześwitywało przez nią światło.

- Pici na chinsycka moda¹ – powiedział i nalał prawie czarnego likworu. - W tym jest dużo piołunu. Niezły trunek. Jeżeli się sporo wypije, daje mniej więcej ten sam efekt co absynt.

Samuel pociągnął tyk.

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego tamto tak cię zainteresowało – rzekł.

- Ano, wydawało mi się, że człowiek, który potrafi stworzyć tak wspaniałą historię, musiał dokładnie uświadamiać sobie, co chce powiedzieć, i że nie może być niejasności w jego słowach.

- Mówisz „człowiek”. Więc nie uważasz, że to jest księga boska, wypisana atramentowym palcem Boga?

- Uważam, że umysł, w którym mogła się zrodzić ta historia, był przedziwnie boskim umysłem. W Chinach mieliśmy kilka takich.

- Ja tylko chciałem wiedzieć – rzekł Samuel. – Jednak nie jesteś prezbiterianinem, mimo wszystko.

- Mówiłem panu, że robię się coraz bardziej chiński. No, ale wracając do rzeczy, pojechałem do San Francisco i tam odwiedziłem siedzibę naszego rodowego związku.

Słyszeliście panowie o czymś takim? Większe rodziny chińskie mają ośrodki, w których każdy ich członek może otrzymać pomoc albo jej udzielić. Rodzina Li jest bardzo liczna. Opiekuje się wszystkimi swoimi.

- Słyszałem o tym – powiedział Samuel.

- To znaczy, że chinsycki człowiek z topolkiem łobi wojna Tong o niewolnica dziewczyna?

- Coś w tym rodzaju.

- W rzeczywistości to wygląda trochę inaczej – ciągnął Li. – Poszedłem tam, ponieważ w naszym rodzie jest sporo czcigodnych starców, którzy są wielkimi uczonymi. Mówiąc ściśle, są to myśliciele. Człowiek może spędzić wiele lat na rozmyślaniach o jednym zdaniu mędrca, którego wy nazywacie Konfucjuszem. Przypuszczałem, że znajdą się tam ludzie biegli w znaczeniu słów, którzy potrafią mnie oświecić.

To są wspaniali starcy. [...]

Li zwilżył sobie język czarnym trunkiem.

- Przedstawiłem pokornie swój problem jednemu z owych mędrców, odczytałem mu tę opowieść i powiedziałem, com z niej zrozumiał. Następnego wieczora zeszło się ich czterech i wezwali mnie do siebie. Dyskutowaliśmy na ten temat przez całą noc.

Li roześmiał się.

- To zabawne – ciągnął. Z pewnością nie miałbym odwagi opowiedzieć o tym wielu ludziom. Czy panowie możecie wyobrazić sobie czterech czcigodnych starców, z których najmłodszy przekroczył już dziewięćdziesiątkę, rozpoczynających naukę hebrajskiego? Zaangażowali sobie uczonego rabina. Zabrali się do nauki, jak gdyby byli dziećmi. Podręczniki z ćwiczeniami, gramatyka, słówka, proste zdania. Trzeba panom było widzieć hebrajskie wyrazy kaligrafowane pędzelkiem zanurzonym

w chińskim tuszu! Pisanie od prawej do lewej nie sprawiało im tyle kłopotu co wam, ponieważ my piszemy pionowo, z góry na dół. O, to byli miłośnicy doskonałości! Docierali do samego jądra sprawy.

- A ty? – zapytał Samuel.

- Ja podążałem za nimi, podziwiając piękno ich dumnych, czystych umysłów. Uczułem miłość do swojej rasy i po raz pierwszy cieszyłem się, że jestem Chińczykiem. Co dwa tygodnie jeździłem spotkać się z nimi, a tutaj, w moim pokoju, zapisywałem całe strony. Kupiłem wszystkie znane słowniki hebrajskie. Jednakże ci starzy panowie ciągle mnie wyprzedzali. Niebawem wyprzedzili i tego naszego rabina, sprowadził więc sobie kolegę. Panie Hamilton, trzeba panu było spędzić którąś z tych nocy na dyskusjach i sporach. Te pytania, ta wnikliwość i, och, to piękne rozumowanie, cudowne rozumowanie!

Po dwóch latach uznaliśmy, że możemy już przystąpić do pańskich szesnastu wersetów z czwartego rozdziału Genesis. Moi starzy panowie też uważali, że tamte słowa są bardzo doniosłe: **„będziesz”** czy **„masz”**. **A oto skarb, do którego się dokopaliśmy: „Możesz”**. „Możesz panować nad grzechem”. Starzy panowie uśmiechnęli się, pokiwali głowami i poczuli, że dobrze spędzili te lata. Poza tym wyłuskało ich z chińskiej skorupy i teraz studiują grekę.

Samuel powiedział:

- To niewiarygodna historia. Starąłem się ją śledzić, ale może coś mi się wymknęło. Dlaczego to słowo jest takie ważne?

Ręka Li drżała, kiedy napełniał delikatne czareczki. Wychylił swoją jednym haustem.

- Czyż pan nie rozumie?! – zawołał. – Amerykańskie tłumaczenie nakazuje ludziom tryumfować nad grzechem, a grzech można nazwać niewiedzą. Przekład króla Jakuba daje obietnicę w słowie „będziesz”, co oznacza, że ludzie z całą pewnością nad grzechem zatryumfują. Natomiast słowo hebrajskie, wyraz *timszel* – „możesz” - daje prawo wyboru. Kto wie, czy to nie najważniejsze słowo na świecie. Mówi ono, że droga jest otwarta. Przenosi odpowiedzialność na człowieka. **Bo jeśli „możesz”, to znaczy również, że „możesz nie”**. Rozumie pan?

- Tak, rozumiem. Rozumiem. Ale ty przecież nie wierzysz, że to jest boski zakon. Dlaczego więc przywiązujesz do tego taką wagę?

- A! – zawołał Li. – To właśnie od dłuższego czasu chciałem panu powiedzieć. Przewidywałem nawet pańskie pytanie i jestem dobrze przygotowany. Każde dzieło pisane, które wywarło wpływ na myślenie i życie nieprzeliczonych rzesz ludzkich, jest ważne. Otóż istnieją miliony ludzi zjednoczonych w różnych sektach i kościołach, którzy wyczuwają to jak rozkaz – „masz” - i cały wysiłek skupiają na posłuszeństwie. I są także inne miliony, które czują przeznaczenie w słowie „będziesz”. Żaden ich czyn nie może zmienić tego, co się stanie. Ale „możesz”? Przecież to daje człowiekowi wielkość, czyni go równym bogom, bo w swojej słabości i brudzie, w morderstwie swojego brata ma zawsze to wielkie prawo wyboru. Może wybrać sobie własną drogę, stanąć do walki i zwyciężyć!

W głosie Li brzmiała pieśń tryumfalna. Adam odezwał się:

- Ty w to wierzysz, Li?

- Tak, wierzę. Wierzę. Łatwo jest przez lenistwo, przez własną słabość rzucić się w objęcia bóstwa, mówiąc: „Nie dałem rady - droga była już wytyczona”. Ale pomyślcie o chwale wyboru! To czyni człowieka człowiekiem. Kot nie ma wyboru, pszczoła musi robić miód. Nie ma w tym nic boskiego. A wiecie, panowie, że tamci starcy, którzy osuwali się już łagodnie w śmierć, teraz są zbyt zaciekawieni, żeby umrzeć.

Adam zapytał:

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że ci Chińczycy wierzą w Stary Testament?

- Ci starcy wierzą w historię prawdziwą – odrzekł Li – i umieją się na niej poznać Są krytykami prawdy. Wiedzą, że te szesnaście wersetów to dzieje rodzaju ludzkiego ze wszystkich epok, kultur i ras. Nie wierzą, żeby ktoś mógł napisać piętnaście i trzy czwarte wersetu prawd i skłamać jednym czasownikiem. Konfucjusz poucza ludzi, jak mają żyć, aby mieć dobre i udane życie. Ale to... to jest drabina, po której można się wspiąć do gwiazd. – Oczy Li błyszczały. – Tego nigdy niepodobna zagubić. To podcina słabość, tchórzostwo i gnuśność.

Adam powiedział:

- Nie pojmuję, jak mogłeś gotować, wychowywać chłopców, opiekować się mną i jeszcze mieć czas na to wszystko.

- Ja też tego nie pojmuję – odparł Li. – Ale każdego popołudnia wypalam swoje dwie fajki, ani mniej, ani więcej – tak jak ci starzy. I czuję, że jestem człowiekiem. Czuję, że człowiek to coś bardzo ważnego – może ważniejszego niż gwiazda. To nie jest teologia. Nie mam słabości do bogów. Ale mam w sobie nową miłość do tego olśniewającego narzędzia – duszy ludzkiej. To rzecz cudowna i jedyna we wszechświecie. Ciągłe atakowana, a nigdy nie podlegająca zniszczeniu – dlatego właśnie, że „**możesz**”.

Fragment powieści Johna Steinbecka Na wschód od Edenu,
tłum. Bronisław Zieliński, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000.